(***Z listu do KZ***)

(…) zajrzałem na Twoją stronę, gdzie zastanowiło mnie bogactwo pisarstwa o organizacji nauki, o którym nie miałem pojęcia. Nie przypadkiem – nigdy nie podejmowałem dyskusji nad poziomem NAUKI, z uporem natomiast drążyłem przez te lata zagadnienie poziomu UCZELNI. To różnica fundamentalna: naukę uprawiamy dla satysfakcji własnej, nauczanie dla pożytku innych.

Twoje słowa, że łatwiej postawić diagnozę, a trudniej wymyślić i zrealizować konkretne środki zaradcze świetnie rozumiem, podobnie jak zniechęcenie do pisania, kiedy skutku nie widać. Z doświadczeń życiowych wyciągam jednak odmienne wnioski.

Los wyznaczał mi rozmaite role uniwersyteckim świecie. W okresach aktywności miałem okazję organizować wycinki otaczającej mnie przestrzeni wg własnych myśli, a potem obserwować, jak pozostawione dzieła są wolno, lecz skutecznie deformowane przez zastarzałe zwyczaje. Zderzałem się i z pełną niemożnością temperowania otoczenia, mimo formalnych do tego uprawnień, wskutek ociężałości najbliższych. Te doświadczenia nauczyły mnie pokory w dążeniu do celu materialnego, nie zmieniły jednak uporu w zrozumieniu pra-przyczyn stanu rzeczy, którego wielu detali – choć spędziłem w nim całe życie – nie nauczyłem się akceptować.

Tę „aberrację" wyjaśniają dwie okoliczności. Pierwsza to wczesne urodzenie i dom, z innego, nie istniejącego już po wojnie świata, dom poraniony i obrabowany, w którym jednak nikt nie biadał. Należało żyć w świecie, w który nas los rzucił, ale godzić się z nim – nigdy. Podobne poczucie „ułomnej normalności" otoczenia i koniecznego zachowania w nim innych wartości spotkałem w UJ w osobie prof. Gumińskiego i potem u prof. Pigonia we Wrocławiu. Obaj podobnie rozumieli swoje uniwersyteckie zadanie: odpowiedzialność w służbie nauczycielskiej oraz bezwzględnie krytyczny stosunek do własnej naukowej twórczości - ma być prawdziwa lub żadna. Drugim czynnikiem, który umocnił oddziaływanie pierwszego, były doświadczenia amerykańskie i późniejsze podróże po Europie. Nie po konferencjach, lecz po uczelniach. Prowadziłem rozmowy nie o nowych publikacjach – lecz o nowoczesnym nauczaniu.

Poszukując czynników, które kształtowały realia akademickiej Polski zrozumiałem rolę „rewolucji" 1939-89 (czytelnie i szeroko opisywanej przez A. Ledera). Katastrofa zniszczyła tkankę społecznej kultury trzebiąc jej środowiska oraz wdrożyła wschodni system edukacji wyższej siłami nowych pokoleń, nie bez udziału powojennych ocaleńców. System akademicki po roku 1990 kształtowany był przez ludzi, którzy edukacje wyższą odebrali już w nowych czasach - nie uważali za konieczne jej przekształcać, najwyżej szlifować.

Moje najogólniejsze wnioski są dwa: (i) nasz system nie jest akademicki w euro-atlantyckim znaczeniu tego słowa; (ii) jego zmiana nie jest możliwa bez głębokiego wsparcia państwa (jak wielokrotnie wcześniej w dziejach polskiego uniwersytetu). Te stwierdzenia mają charakter diagnozy, która ostrożnie sączyłem na próżno oczekując jej korekty. *Qui tacet, consentire videtur.*

Sytuacja taka nie usprawiedliwia bezczynności, zmusza do rozwagi. Oczarowała mnie rada Franciszka: *Chodzi o uprzywilejowanie działań rodzących w społeczeństwie nowe dynamizmy i angażujących nowe osoby, które je będą rozwijać, aż wydadzą owoc.* By to osiągnąć należy mówić – w naszym środowisku to diagnoza czyli rozpoznanie rzeczywistości jest konieczną podstawą wszelkich działań. Otwierając oczy młodym, można ośmielić kolejne roczniki do aktywności także na tym polu. Można też zmuszać polityków do porzucenia bezrefleksyjnej nadaktywności interwencyjnej w murach uczelni, która niezmiennie oznacza tylko zdobywanie przez jedne grupy akademickie przewagi nad innymi. Od rządzących mamy prawo oczekiwać działań wyższej rangi: wyznaczania zadań podmiotom akademickim oraz ich egzekwowanie poprzez materialne, nie biurokratyczne instrumenty.

Nie wiem czy uznasz przydługi tekst za sensowny, lecz mam nadzieję, że zrozumiesz moje intencje.

Pozdrawiam, LK

Wrocław, 25 marca 2018.